

NIEWIASTA.

O różnicy wychowania chłopców i dziewcząt.

A panie matki niechaj około dziewcząt swych raczą pieczę mieć, gdyż to jest naród młdy a nadewszystko srodze namolny.

M. Rej, w Żywocie „pocz. człow“

I.

Każde dobre wychowanie powinno być: 1sze chrześcijańskim, po 2gie narodowem. Bóg by dał, aby nigdy innych rodzajów nie bywało, aby nie słycać było o różnicach wychowania pańskiego a chudopacholskiego. Bóg by dał, aby wszystkim stanom świeciła wielka idea wychowania narodowego, aby w tem wychowaniu zaciebrały się sprzeczności położenia społecznego w obec jednności myśli powszechnej.

Każdy naród ma swoje osobne potrzeby, każdy inne dążenie na przyszłość. Te dążenia nigdy mu jaśniej w głowie nie świecą jak wtedy, gdy o wychowanie przysłego swego pokolenia się stara. Wszystkie sławne i świetne narody i państwa (!?) poświęcają edukacji publicznej najlepsze siły materialne i moralne, a zaniedbanie tej gałęzi jest najsilniejszym dowodem ich niekzemienia i upadku. Nasza historia jest najlepszym tego dowodem. W świetnych czasach Jagiellońskich współdziałł dla wychowania publicznego był tak powszechnym, że micyatywa zakładów wychowawczych wychodziła od prywatnych: później upadek edukacji publicznej szedł ręką w rękę z upadkiem narodu.

Narodowe wychowanie gruntuje się na narodowych potrzebach. Pamiętajmy zawsze o tem, że nie tylko wychowujemy dziedzica lub dziedziczkę imienia, właściciela majątku, hrabiego, księcia lub szlacheica — ale że wychowujemy obywatela. Większa część tych smutnych karykatur, w których tytuł, majątek, znaczenie zastąpiły godność człowieczą, odebrała wychowanie na cząstkę człowieka, zamiast na całego.

Dwoiste są święte szranki działania na ziemi, dom i arena publiczna; szranki będące probierzem kamieniem wartości osobistej każdego człowieka. W pierwszych szrankach walczy przedewszystkiem niewiasta — w drugich mężczyzna.

„Świętością domu“ i „zasługą publiczną“ stoimy i znaczymy. Pierwsza chroni nas od wynarodowienia obyczajowego, druga utrzymuje w ciągłym świętem poczuciu obowiązków wyższych nad materialne względy.

Wychowanie narodowe zatem ma cel 1) aby z kobiety uczynić anioła stróża świętości domowych; 2) aby z mężczyzny uczynić pracownika publicznego. Z tego celu różnorodnego wypływa także walna różnica obu wychowań. Wychowanie dziewczęcia powinno być przeważnie domowem; wychowanie chłopca koniecznie publicznem. Nigdy pensyon nie zastąpi panience wykształcenia pod okiem matki, nigdy guwerner nie zastąpi chłopcu szkół publicznych.

II.

Fizyczna doskonałość wychowania jest nieodzowną materialną podwaliną całego gmachu edukacji naro-

dowej. Hartować chłopca, oswajając go z trudami i szko dliwymi niby zmianami temperatury i powietrza, przy gotować na wszelkie choćby herkuliczne nateżenia, jes świętym i łatwo tłumaczyć się dającym obowiązkiem Nigdy najwyższe nawet wykształcenie nie może tutaj służyć za wybieg. Zresztą siła ciała jest pierwszym wurunkiem siły duszy.

Staropolskie wychowanie utrzymuje w chłopcu z zasady zuchowatość i rzeźwość meżką, która staje się zarodem przysłej waleczności. Chłopiec od dziecięcia przywykał do konia, waleczył z jego uporem i zuchwalstwem; szukał zapaśników na paleaty w ogrodzie. Nawet OO. Jezuitci czuli się obowiązani nie przeszkadzać tym ewaporacyom krwi szlacheckiej, i w programat studyów brali fechtunek i tak zwane tańce bronii. I dzisiaj wszyscy, którzy starej a zbawiennej tradycyi wiernymi zostali, chętnie trzymają się tego systemu, chętnie widzą odwagę i dzielność osobistą w synie, a zamiast obawieńiać go przed każdym wpływem powietrza i klimatu, wystawiają go chętnie na ich rozmaitość, boć przecie człowiek stworzony dla wszystkich pór roku i we wszystkich porach roku bywają potrzeby i wypadki, które silnego wymagają zdrowia.

Obok fizycznego wyrobienia stoi zaraz w sąsiedztwie obudzenie i wykształcenie odwagi osobistej, tej cnoty tak ściśle połączonej z działalnością i energią zmysłów i muszkułów, z tęgością nerwów czuciowych. Wystawiajcie waszych synów na niebezpieczeństwo, choćby urojone, na niebezpieczeństwo, w którym ratunek już na wszelki przygotowany jest wypadek, ale wystawiajcie ich, aby umieli śmieie mu w oczy zajrzeć, aby nie drżeli nawet przed śmiercią. Fizyczna i moralna pewność siebie jest konieczną dla mężczyzny. Niech umie pływać i łyżwować, rąbać się na pałasze i strzelać, jeździć na dzikim koniu i z zgrabnością drapać się na najwyższe góry; niech umie wszystko, co należy do wyrobienia ciała a niezawodnie prócz fizycznych, wielkie ztąd moralne odniesie korzyści. Rozumiała to Grecya, rozumiały to wieki średniowiecznego rycerstwa, rozumieci ojeowie nasi: szkoda, że my tak mało rozumiemy. Gimnastyka umiejętna ma niby zastąpić te dawne ćwiczenia fizyczne; ale nie pominimy, że w gimnastyce nie ma tego głównego momentu moralnego, który uświetniał gry Olimpii, turnieje a nawet nasze bitki studenckie po ogrodach, momentu heroizmu, momentu, którego żadna prawidłowość anatomiczna zastąpić nie może. Z tej przyczyny byłibyśmy zawsze więcej za temi dawnymi ćwiczeniami, jak za gimnastyką. Każdego ruchu ciała ostatnią sprężyną jest nie siła fizyczna; ale duch — i tenże duch powinien być natchnieniem i treścią fizycznego naszych chłopców wychowania.

III.

O fizyczności kobiet mieliśmy sposobność mówić przeszłą razą. Tutaj dodamy tylko, że z stanowiska naszych potrzeb narodowych, ze względu na naszą biedę krajową, powinniśmy mieć na oku powołanie kobiet jako gospodyń domu. Kobieta lub panna gospodyni, to istota

oddalona o całe niebo od kobiety i panny salonu. Myśli ich, ruchy, mowy całe życie różne: bo w pierwszej jest podstawa rzeczywistości, w drugiej jej nie masz. Na śliskiej posadzce salonu rosną owe wszystkie exotyczne kwiaty niewieście: owe exaltowane i sentymentalne panny, które w życiu czeka czezość, zawód, nuda, suchoty lub roznerwienie, owe sawantki i niedowarzone artystki, które, chybiwszy głównego celu życia kobiety, rozbijają się w świecie jako karykatury niewieście, owe nieszczęśliwe spazmatyczki i wieczne malkontentki, niezrozumiane przez świat z tej prostej przyczyny, że nigdy własnych niezrozumiały obowiązków. Jakże inaczej wygląda panienka w guście Zosi, kwiatek domowego ogródka, karmiący ptactwo domowe, ale pojmujący tak dobrze świętość sprawy, za którą idzie walczyć pan Tadeusz? Nie przestaniemy zatem powtarzać paniom naszym, że pracowitość, praktyczność, gospodarność są nieodbitą potrzebą dla naszych dziewcząt, że natomiast języki, talenta (które często bywają wgwalone) są rzeczą drugiego dopiero rzędu. Sawantki, exaltowane, sentymentalistki i emancypowane sprowadzały nam obczyzną, zbytki, przewrotność, choroby nerwów i tym podobne niesłychaności; gospodarne nasze niewiasty trzymają dotąd, jak bluszcze popękane, mury naszych domów. Cześć im! Bóg daj ich najwięcej!

IV.

Powiedzieliśmy, że chłopiec przede wszystkim *publiczne*; dziewczę zaś *domowe* powinno otrzymać wychowanie. Ważność szkół publicznych nie polega na samych naukach w nich udzielanych, bo te nauki trzeba wesprzeć domową pracą nad chłopcem, aby korzyść przyniosły; ważność szkół polega na życiu towarzyskim młodzieży. Towarzystwo szkoły, to przygotowanie, wstęp do towarzystwa świata. Chłopiec wypieszczony i podziwiany w domu, *genie de la famille* jak to mówią, spotyka się nagle z innymi indywidualnościami, które wcale na jego domowe znaczenie zważać nie myślą, tonie w masie kolegów zdalniejszych i mądrzejszych niż on. To obudza sprężystość jego duszy, rozwija energią jego myśli, jego charakter. Nie ma nic piękniejszego jak szkolny duch koleżeństwa, choćby zuchwałstwem tracił, niema nic brzydszego jak odszczepianie się od interesów kółka kolegów, dla schlebiania się profesorowi. Dobry kolega będzie niezawodnie dobrym obywatel.

Tego współzawodnictwa niepotrzebuje dziewczyna. Ona będzie towarzyszką jednego, a to czego się nauczy, nie będzie walczyć z nauką drugich, bo nauka to spokojny pożywiół jej duszy, który ma podnieść i rozbudzić zarody piękna i prawdy tkwiące w jej piersi.

W nauce kobiety nie ma dążenia postępu, nie ma pragnienia badań i zaciekań głębokich, bo ona w duszy ma wielką wiedzę uczucia, która przez naukę nabiera kształtów i postaci, ale dla wielkiej rozprężliwości swojej kobiecie wystarczy mniej nauki. Jedna chwila miłości, więcej jej przynosi objawień niż wszystkie książki. Z tej przyczyny miłosne domowe wychowanie niczem się dla kobiety zastąpić nie daje. Kobieta jak kwiat potrzebuje spokoju i pielęgnowania, aby się pięknie rozwinąć. Święte prawdy domowe wpływają na nią silniej, niż morały książek, ciepło domowego ogniska służy jej lepiej, aniżeli zimny formalizm pensyonu.

—2—

Stroje niewiast polskich za Augusta III.

(Dokończenie)

Trzewiki najdawniej w modzie były u dam dystyngowanych irchowe malowane w kwiaty. Ta moda już

zaczęła schodzić z nóg dystyngowanych osób w początkach panowania Augusta III a przechodzić, jak wszystkie inne mody, do niższego stanu i mniejszego majątku, mianowicie do szynkarek i innych służebnic miejskich. Damy zaś dystyngowane po zarzuceniu trzewika malowanego, obuły się w czarny zamiszowy, pręgą na trzy palce szeroka, od wierzchu aż do palców srebrem lub złotem haftowana, ozdobiony. Proste szlachcianki i wiejskie kobiety zażywały trzewika czarnego, gładkiego skózanego. A niektóre w błotne czasy i zimowe, bócików opiętych, z cholewami pod kolano długimi, na klocek cienkim tak, jak u trzewika. Zażywały też bóciat i trzewików żółtych i czerwonych, ale tylko Podlasianki i Lublinianki; wszystkie zaś ruskie kobiety chłopskie więcej używały bótów krojem męzkim z podkówkami, niż trzewików, które bardzo rzadko w tamtych stronach na prostych kobietach dawały się widzieć, i to najwięcej na popich *) żonach i córkach młynarskich.

W średnich latach panowania Augusta III nastąpiły trzewiki bławatne atlasowe i grodetorowe, rozmaitych kolorów, gładkie bez haftu, nie już jak dawniejsze, tasiemką albo wstążką zawieszane, ale zapinane na sprzączkę srebrną, która w początkach swoich była mała, wązka, potem przerobiona na wielką, cały niemal wierzach nogi okrywająca, miejsce miała nie daleko od palców, po które miejsce trzewik był wykrojony. Był to sztuczny wynalazek, przez który stopa choć duża, jak niedźwiedzia łapa, wydawała się małą. Te trzewiki nagle się rozszerzyły po całej pleci białej, tak szlacheckiej, jak miejskiej kondycy; już ani szynkarki, ani kucharki, ani młodszej czyli pokojowej dziewczyny nie obaczył, tylko w bławatnym trzewiku. Zbytek się coraz bardziej pomnażał. Majętna pleć, która przedtem obyla się, mówiąc o jednej osobie, czterema parami trzewików skórzanych na rok, do obmycia i ochłodzenia sposobnych, potem potrzebowała co miesiąc, a wymyślniejsza co tydzień inszych, bo lada plamka na trzewiku bławatnym zrobiona, już go z garderoby pani rugowała. Zaczem spadały takowe trzewiki na służebnice, a przeto najlichszego szurgota nie widać było w innym trzewiku, tylko w bławatnym, choć przydeptanym i ziewającym.

Szewcy warszawscy niezmiernie profitowali na tym towarze, który z tego miasta rozchodził się po całym kraju, i choć po innych miastach robiono takie trzewiki, nie miały jednak takiego szacunku jak warszawskie; co większa, z ręki tegoż samego szewca, który w Warszawie robił bardzo gustowne trzewiki, już się nie wydawały takie, skoro się przeniósł do innego miasta. Mężowie dla żon, ojcowie dla córek, kawalerowie dla dam sprowadzali takie trzewiki tuzinami i kopami; w prezentach nawet przedślubnych niepoślednie trzymał miejsce warszawski trzewik.

Dowcipny ten ustęp o stroju nówek pań naszych, przypomina nam tę psychologiczną prawdę, że człowiek nigdy tak pochopnym nie jest do naśladowania dobrego jak złego. Od majątnych wyszło zepsucie, oni w modach zachodniego świata zasmakowawszy, przynosili je nad dawne ojezyste. Oto, co zaraz dalej, serdeczny ksiądz powiada:

Wśród panowania Augusta III ukazały się salopy na dwóch francuzkach w Warszawie, Bersouville zwanych, z których się najprzód śmiano, jako stroju dziwackiego, *mere**)* do płaszcza z kapturem bernardyńskim podobnego; lecz powoli oko nabrało gustu do tego, co mu się pierwszy raz śmiesznem zdawało. Nie wyszło pół roku czasu,

*) Zostawia się wyrażenie dla wierności historycznej. R.

***) Mere po rusku znaczy tyle, co prawie. R.

a już połowa dystyngowanańskiej płci białej przykryła się salopami. Salopy pierwsze były z samej kitajki czarnej, niezem niepodszyte. Potem nastąpiły podszywane rozmaitem futrem lub kitajką, albo atlasem czerwonym, na wacie jedwabnej dla ciepła, oprócz zaś tego podszywania rozróżniały się jeszcze i tem od pierwszych salop, że tamte były do kolan krótkie, terazniejsze zaś zostały niemal po pięty długie. Lecz nie wszystkie są takimi, wymyśliły sobie znowu białogłowy pół-salopia, te są krótkie po pas z końcami na przodzie dłuższymi i z kapturkiem małym. Salopa jest suknią bardzo uczciwa i wygodna, najpierwszą ma zaletę od skromności, zasłania bowiem całą osobę; powiadają jednak, iż salopa wymyślona jest nie tak z pobożnej przyczyny, ale od garbatej osoby, która się nie mogąc pokazać kształtną, szukała sposobu, jak by ułomność swoją pokryć mogła. Druga wyгода z salopy, że może być prędko na osobę włożona, w czem przysługuje się białogłowom skrzętnym, niedbałym o strój, leniwym do ubioru i nagle zdybanym. Trzecia, że okrywa niedostatek, ujdzie pod nią i kożuch barani i suknia ładajaka, byle salopa dobra.

Posłuchajcież szanowne czytelniczki ciekawego opisu wysmiewanej dziś powszechnie *krynoliny* waszej. Nie nowość to wcale tegowieczna, ale jestto, jak się przekonacie zbytek z czasów Augusta III. Krynolinę zwano wtedy *rogówką* — o niej powiada ksiądz Kitowicz w ten sposób:

Rogówki nastąpiły niedługo po salopach, były z początku małe, potem stały się wielkimi — do trzech łokci u dołu szerokimi. Niezażywały rogówek innej kondycji damy, tylko szlacheckie, senatorskie i służące panny. Wiele razy pokusiła się która mieszcza ustroić w rogówkę, zawsze jej afront zrobiono, dla czego w samym tylko dystyngowanym stanie rogówki się rozdymały. Rogówka była to spodnica z płótna, na trzech obręczach z wielorybiej kości, obszyta, na jednej w pas, na drugiej w kolano, na trzeciej w pół łytki. Te obręcze nie były okrągłe, jak na beczce, ale spłaszczone do podługowatości, na kształt wanny owalnej. Brały najprzód damy strojące się w rogówkę spodnicę materyalną, lekką lub przesywaną, podług pory czasu; na nią kładły rogówkę, a na rogówkę dopiero wdziewały suknią wielką, jaka była w modzie. Nic nie było niewygodniejszego dla dam i mężczyzn nad te rogówki, wszędzie w tym stroju było im ciasno. Siadłszy dwie koło siebie w karcie, musiała jedna drugą przykryć skrzydłem od rogówki, gdy z nich jedna była wyższa, druga niższa. Toż samo działo się przy stole, osobliwie w ciasnym zasadzeniu.

Jeżeli Polak siedział wedle damy, nie to czuprynie jego nie szkodziło, choć go po głowie rogówka głaśkała. Jeżeli zaś elegant z fryzurą, albo druga dama, poposowała się fryzura i kornety, które wstawszy od stołu trzeba było z nowa trefić i poprawiać. Najśmieszniejszy zaś był widok, kiedy jakimu fryzkowi, a jeszcze lysemu, nieostrożnem rogówki poruszeniem dama zemknęła perukę z głowy. Te jednak przypadki żadnej nie sprawiały urazy, bo moda trzymała wszystkich pod prawem swojej podległości.

Jako zaś nie masz nie tak złego w rzeczach ziemskich, żeby oraz nie miało w sobie jakiej cząstki dobroci, tak też i rogówki, lubo swoim nosicielkom i sąsiadującym z nimi sprawiały wielką subiekcyę, atoli w zwadliwych kompaniach służyły za fortece. Nie jeden tchórz, skoro rzecz wytoczyła się do szabel, skrył się pod rogówkę, a gdy drudzy karbowali łby sobie, nosy, policzki, obcinali ręce, on w dobrem zdrowiu pod rogówką przesiedział zawieruchę, bo już go tam nikt atakować nie śmiał, ile kiedy jedna go nakryła, a drugie,

w kącie zbite na kształt wałów i szanców, rogówkami nie dozwalały przystępu. Rogówki nie trwały dłużej w częstem zażywaniu nad 15 lat. Z początku żadna dama na publicznym widoku nie pokazała się bez rogówki, nawet i w domu przy gościu. Potem zaczęły brać rogówki tylko na wielkie publiki, na kompanie, na bale, a nareszcie ku ostatnim latom panowania Augusta te gmachy zawadzające wcale zostały zarzucone, wyjąwszy dnie galowe niektóre u dworu, do całowania ręki królewskiej damom senatorskim przeznaczone; w takowe dnie prezentowały się damy królowi w robach, a zatem na rogówkach. Roba jest czarna suknia, krojem kabata dziecinnego z tyłu sznurowana, mająca rękawy po łokieć krótkie, od tego łokcia aż do ramienia koronkami białymi jak najprzedniejszemi bryzowane, z tyłu ogon długi zamiatający pokoje.

Owóż widzicie na jaki pożytek ten niepotrzebny sprzęt strojów waszych, ta tak zręcznie *wydymówką* zwana krynolina przeznaczoną była. Zagubiono ją pod koniec panowania Augusta IIIgo — świat dzisiaj odgrzebał ją na nowo. Czemuż to jednak i wielu zagubionych cnót i zalet przodków nie wygrzebujemy tak skwapliwie, czemuż nie powracamy do szlchetnego Ojców naszych pożycia? do miłości Boga, którą się nasz naród przed wszystkimi oznaczał? do bratniej zgody, słowem do czystych narodowych obyczajów? Czyżby to miało być prawdą: iż do złego garniem się skorzej, niż do dobrego? — Nie! Jest nadzieja w Bogu, są nawet oznaki, że się zdołamy poprawić, że się poprawimy.

Bonifacy.

Moja srebrna-złota.

O słońeczko! coś powstało
Nad morzem, nad morzem,
I cóżeś ty nie widziało
Na tym świecie bożym?!

Widziałoś ty góry, stawy,
Widziałoś i pola,
I ten strumień błękitnawy,
Co wioskę okola;

Widziałoś ty brzozę białą,
Zwieszoną nad płoty;
Aleś pewno nie widziało
Mojej srebrnej-złotej:

Bo gdybyś ją zobaczyło
Na kwiecistej błoni,
W szary obłok byś się skryło,
Pomyślawszy o niej —

I ludzie-by nie widzieli
Twojej skrawej bieli,
Tylko naszę mgłę tęsknoty,
Po mej srebrnej-złotej.

Teofil Lenartowicz.

Zycie kąpielne.

Szkic obyczajowy.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Adam wistocie był dziwną, choć zwykłą u nas naturą. Helenę znał od lat dziecińczych i prawie się wychował z nią razem. Wracając z zagranicy wyexaltował w sobie tęsknotę za poetyczną rodzinnością polską, wymarzył romans w dworze szlacheckim z prowincjonalną jaką Zosią, postanowił ożenić się, aby mu lipy szumiły, młyn terkotał, woniały łąki i szezebiały dzieci. Wtedy już wspominał sobie Helenkę. Przyjechawszy w sąsiedztwo do kapitanowstwa ujrzał cały swój sen na jawie. Helenka była wykapaną Zosią, dom jej rodziców prawdziwym patryarchalnym gniazdem. Rozkochał się więc szalenie i z zachowaniem form starych oświadczył natychmiast. Kapitanowstwo byli jednakże zanadto rozsądni, aby dla majątku hrabiego zaraz mu powolnemi się okazać więc nie odmawiając mu ręki panny, kazali czekać aż jej serce pozyszcze i stałości swej da dowody. Atoli już w Rózanowie pokazywał nieraz pan Adam, że ma kilka natur i kilka kwiatów w swej piersi, że staropolska szlachetność, którą tak ukochał, jest jednym z jego marzeń i usposobień; ale nie stałem usposobieniem jego duszy.

Przychodziły często chwile, w których Adam chciał czego innego, w których go wiejski patryarchalizm nudził a szum lip i łoskotanie młyna niewystarczało. Widzieli to kapitaństwo, widziała Helenka, która acz szczerze do niego przywiązana, miała na tyle energii staropolskiej panny w duszy, żeby była nigdy nie przystała na obowiązku tylko ożenienie się Adama.

— Bóg nas strzegł moja Kondusiu, żeśmy tego chłystka od razu nie przyjęli, mówił kapitan. On się musi wprzód dobrze wyszumieć.

— Jakoż to przekonanie umocniło się jeszcze w kąpielach. Adam pokazywał często niespokojność i niezadowolone a po gwałtownych scenach miłośnych, które Helenie za każdą robił sposobnością, stawał się sardonijnym, kwaśnym i nieznośnym. Helenka cierpiała nad tem, ale nigdy tego nie pokazywała. To panowanie z tego powodu, wpływ godności osobistej, wziął Adam za obojętność i brak czucia i stokroć o nie oskarżał nieszczęśliwą dziewczynę. Kapitanowstwo milczeli, ale na czole jego zbierała się burza, która miała co chwilę wybuchnąć.

X.

Tymczasem hrabina Tryprztycka, znudzona statecznym nieoddawaniem sobie wizyty przez Adama, przypisując to przyrzeczeniu danemu Helenie, postanowiła zrobić *coup d'Etat*, i powziawszy myśl szczęśliwą, wzięła się natychmiast do jej wykonania. Spuściwszy z tonu i narozpowiadawszy znajomym dużo o zasługach starego kapitana, pewnego popołudnia wybrała się z córeczkami do ustronnego domku pod lasem, gdzie mieszkali rodzice Heleny. Wcisnąwszy swoje ogromne panny do ciasnej sionki domku, usłyszała za sobą szelest jedwabów i eudo nad cudami ujrzała panią Trymdyszewską, z całym domem idącą tuż za nią od przeciwnej ulicy. Zacisnęła więc wążki i niewidzialne usta i szepnęła do Amalii:

— Voyez... voyez, Trymdyszewska! Co za intrygantka. Jak ona te córki chce wypchać za męż!..

Toż samo szepnęła Trymdyszewska jednej z swoich córek. Obie nie widziały tego w sobie, co widziały w sąsiadce!

Starzy kapitanowstwo zdziwili się niepomału, widząc tyle przepychu kąpielnego wchodzącego naraz. Wizyta odbyła się najprzyzwoiciej: obie panie siedziały na kanapie mówiąc najśłodziej i spozierając na siebie czasami badawczym wzrokiem. Panienci dusiły naprzemian Helenkę pieśzotami i komplementami, rekognoskując starannie jej ubiór, ułożenie i całą zewnętrzność. Od czasu do czasu piwne oczka Tryprztyckich i niebieskie Trymdyszewskich spozierały ciekawie ku drzwiom, spotykały się i śmiały ze siebie! „No proszę, jak czekają na niego“ mówiono obopólnie. Chwilami panowało milczenie: ciekawość ogólna parła, aby się spytać o szczegóły stosunku z Adamem; lecz długo nikt nie śmiał iść na pierwszy ogień. Odważyła się nareszcie panna Malwina:

— Co za śliczna rzecz, żeśmy się poznały, droga Helenko?! Ale ty podobno nie długo myślisz być naszą koleżanką?

— Ja? dla czego?

— Wszakże mówią wszyscy, że idziesz za hrabiego Adama.

— Tak, odrzekła zarumieniona Helena, pan Adam stara się o mnie.

— Ale już po deklaracyi i zaręczynach?

— Nie było jeszcze zaręczyn i nie ma w tem nic pewnego, rzekła Helena z szczerością.

Na to zaręczenie—panny, w zgodnym zawieszaniu zostające, odetchnęły z ciekawości. Wypadało jeszcze zaspokoić złośliwość i zacerpnąć przedmiotu do bajek:

— Ale Helenki serduszko dosyć za nim? zapytała Malwina.

— Moje — moje serce przywiązane jest szczerze do pana Adama, którego cenić muszę jako dobrego człowieka, i którego znam od lat dziecińczych.

Cztery panny mogły się były zawstydzić tą szczerotą i godnością Heleny, tak dziwnie odbijającą od niskich ich usposobień. Ale one się nie zawstydziły: przeciwnie patrzyły na nią z zamaskowaną zjadliwością i zazdrością. Ostre ich języczki temperowały się w tej chwili jak pióra gęsie, aby należycie obmówić świeżą przyjaciółkę.

Po półgodzinie wszedł nagle Adam z Twardzielem. Zelektryzowane panny poprawiły się na krzesłach, gdy kapitan przedstawił obu przybyszów.

— Panowie dawno w kąpielach? zapytała hrabina.

— Już od tygodnia, pani dobrodziejko.

— Proszę! a dotąd prawie niewidzialni.

— Właśnie — właśnie mieliśmy zamiar... jąkał Adam.

— Rzeczywiście przy szczupłym naszym kółku jest prawie zbrodnią, godną kary, jeżeli się ktoś nie udziela.

— Ach! pani dobrodziejko, zrobimy wszystko, aby nie być zbrodniarzami.

— Jakie bezwstydnę nęcenie, pomyślała sobie Trymdyszewska mrugając na córki. Tymczasem i ona, obrawszy inny plan taktyczny, poczęła Twardzielowi robić wyrzuty.

— Spodziewam się, że się panowie poprawicie, zakonkludowała szorstko. Jeżeli będziecie się obawiać zostać zbrodniarzami w obec pani hrabiny, to raczej w obec mnie uchronić się od przydomku niegrzecznych.

Adam, wyrwawszy się z kleszczów rozmowy z panią hrabiną, przysiadł się do Heleny. Ciężko mu wczorajsze nieporozumienie. Miał wielką ochotę przeprosić swoją panią. Zbliżywszy się ku niej, szepnął cicho:

— A co! czy się gniewamy jeszcze?

Helenka, rozpięta na krzyżu spojrzeń nowych przyjaciółek, niechętnie widziała poufalość Adama. Wygórowana przyzwoitość przechodziła u niej w febryczną

bojaźliwość przekroczenia granic konwencyonalnych. — Było w tem trochę parafianeszczyny. Odpowiedziała więc obojętnie:

— Jak się panu podoba.

— Jak mi się podoba? mruknął Adam i nabral złego humoru. Rozkapryszona jego natura żądała ofiary. Odsunął się po chwili od Heleny i zaczął bawić kontyngens panien zgromadzonych. Wpadł w szalony humor, był dowcipnym i zabawnym. Panny zaśmiewały się z afektacją. Względy jego były podzielone między starszą Trymdyszewską i młodszą Trzyprztycką.

Teraz przyszedł czas na Helenkę, aby się skwasić. Panowała jednak nad sobą i brała udział w powszechnej zabawie.

Wtedy nowy gość zjawił się w progu. Była to blade pani Walter. Tą razą była bledszą niż kiedykolwiek, bo wyszła po kilkodniowej niedyspozycyi. Helenka z wyłanieniem rzuciła jej się na szyję. Po zwykłych powitaniach i przedstawieniach usiadły obie na boku.

— A co? to twój konkurent — bardzo go ciekawa. I zaczęły cichą rozmowę.

Dwóch ludzi żywo dotknęło przybycie pani Walter. Adam cofnął się przed jej przenikliwymi oczami z rodzajem antypatyi, Twardziel głęboko w nie swe czarne utopił zrenice. Nagle zbłądł, poszarpał brodę, i zadumał się. Po chwili przysunął się do niej i zawiązał rozmowę. Gdy oba wychodzili, Adam obejrzał się z kokieterią na Trymdyszewską i Trzyprztycką, a Napoleon do ostatniej chwili patrzył ku miejscu gdzie pani Walterowa siedziała. Wróciwszy do domu chodził wielkimi krokami po pokoju, gwizdząc i śpiewając, co u niego było rzeczą wielkiego znaczenia.

XI.

Rożnowski i Twardziel sprowadzili złotą erę życia kąpielnego. Wszystkie żywioły, które się tylko dały połączyć połączyły się; od rana do późnej nocy trwał ruch różnorodny. Młodzież była niewyczerpaną w wynajdywaniu zabaw tańczących, reunionów i spacerów, serca zbliżyły się do siebie i próżność dawnych rozmów zastąpiły kwestye czasu, zastąpiły uczucia wyższe, szlachetne. Urządzono kilka balów, których czysty zysk na chwalebne poszedł cele. Obok tej poważnej strony życia toczył się humorystyczny kalejdoskop wypadków małych, osobistych, komerażyków i bajeczek, które zajmowały niżej moralnie położoną warstwę.

Na pierwszym planie była kompania Trymdyszewskich i Trzyprztyckich po zięcia. Skutki wizyty u kapitanowstwa były rozległe. Adam, który dotąd tylko na sali balowej prezentował się znakomitościom kąpielnym, złożył wizytę etykietalną i w obu domach bywać zaczął. Kapitanowstwo nie mogli się oprzeć słodziutkim zaprosinom i naleganiom Helenki, która nie mając towarzystwa rówieśniczek zapragnęła przyjaźni nowych znajomych.

W tem miejscu rozechodziły się plany kompanii obu pań. Trymdyszewska, afektując wybornie staropolską szczerłość i prostotę, stała się przyjaciółką Adama i Helenki, córki poszły za jej przykładem; hrabina z hrabiankami postanowiła wszystkimi sposobami przedstawić Rożnowskiemu tę różnicę ogromną, która między kapitanowstwem i ich córką, a domem tak historycznym jak Trzyprztycey, i pannami tak dystyngwowanymi jak Trzyprztyckie, zachodziła.

Pani Trymdyszewska zmiarkowała delikatnym swoim rozumem, że między państwem młodem zachodzi pewien rodzaj nieporozumienia. Sylwercia, zostawszy przyjaciółką od serca Helenki, dostrzegła też samo i mamę w przekonaniu umocniła. Mama, jako przyjaciółka narzeczonych,

jako osoba pełna szczeroty i dobroci, lubiła przypatrywać się temu zastraszającemu symptomatowi, aby mu zaradzić. Helenka dusiła się prawie wśród miłości Sylwercy i Trymdyszewskiej. Obie panie wykradały ją z domu na dnie całe. Adam był przymuszony szukać Heleny w ich domu. Pod strażą przenikliwych oczu panien i mamy źle było kochankom, nie mieli czasu mówić ze sobą i porozumieć się. Adam gniewał się na nową przyjaźń, a Helenka obawiała się śmiertelnie jego złego humoru. Parafianeczka trochę, truchlała przed skompromitowaniem się w obec świata. Nieśmiała już prawie spotkać się z oczyma Adama, a na urwane jego słowa pełne goryczy odpowiadała z bojaźnią. Cierpieli oboje — cierpieli przez przyjaźń i szczerłość Trymdyszewskich.

Wieczorami na balach i reunionach pracowała hrabina z córkami. Adam z przykrością uważał, że Helenka, dziewczynka wiejska, nie swoją była na tych gwarych zgromadzeniach, że nie miała swobody zwykłej i tego obojętnego dobrego humoru, który pannę wielkiego świata ozdabia. Majątek kapitanowstwa nie pozwalał na utrzymanie córki podług wymagań wyrafinowanej elegancyi, kapitan był prócz tego z zasady temu przeciwny. Adam, istota słaba i nieskończenie śmieszności się obawiająca, cierpiał nad każdym brakiem. Hrabianki, pysznie ubrane, brały jakby dla szyderstwa biednie ubraną Helenkę między siebie, aby ją prowadzić po sali podczas przestanków tańca. Hrabina pod ówezas opadła Adama i unosiła się nad jego narzeczona. Adam wpadał w coraz gorszy humor a gdy Helencia, oburzona jego postępowaniem, zimno i obojętność mu pokazywał oddalał się z gniewem, na który nie omieszkala uwag; Helenci zwrócić nieoszacowana Sylwercia. Twardziei się niepokazywał, zniknął, jak kamień w wodę rzucony

XII.

Było to pewnego pięknego poranku. Na dwóch przeciwnych końcach promenady toczyły się dwie jednej treści rozmowy.

Około źródła siedziała pani Trymdyszewska; za którą niósł szklankę usłużny Adam.

— Czemu pan taki nie swój panie Adamie? mówiła pani Trymdyszewska.

— Ja? pani dobrodziejko? Ja bynajmniej smutny nie jestem.

— Dobra przyjaciółka zasługuje na pewną otwartość, mówiła pani Trymdyszewska dalej swoim herodowatym, weredycznym akcentem. Pan jesteś skwaszony, aż brzydki. Ani do tańca, ani do różańca. Na balach się pan nudzisz, na spacerach nudzisz, wszędzie nudzisz. Przypomnij pan Helence dokuczasz, takiej pocziwej dziewczynie. To już na serio paskudnie panie Adamie. Pan nie wiesz, jak ja ją pokochałam.

Pan Adam się rozczulił.

— Bardzo mi przykro, że pani dobrodziejka za takiego zbrodniarza mnie bierze. Może wina nie zupełnie po mojej stronie.

— Moi kochani, wina zawsze po waszej stronie. Nie trzeba było dziewczyny rozdurzać, skoro dzisiaj niezupełnie odpowiada życzeniom pana.

— Więc pani dobrodziejka uważa, zagadnął z przestrachem Adam, że my rzeczywiście nie dla siebie?

Trymdyszewska spojrziała problematycznie i wzruszyła ramionami.

— Ja nie nie uważam, odpowiedziała. Pan powinien był uważać.

— Zapewne. Ale przecież ciekawy jestem okrutnie, co pani dobrodziejka o tem myśli.

— Ja... ja... ależ to delikatna materya.

— Mogę zaręczyć, że tylko wdzięczność czuć będę.
— Ja myślę, skoro już mam być otwartą i prawdziwą, że charakter, usposobienia, wykształcenie państwa obojga są dosyć nieszczęśliwie dobrane. Pan jesteś uczuciowy i prawie exaltowany, Helencia naturalna, pan melancholiczny, ona żywa, pan człowiek wielkiego świata ona, ona... Tu zamilkła zaambarasowana niby Trymdyszewska.

— Ona swego chowu, chcesz pani powiedzieć, rzekł Adam wstrząśniony do żywego słowa, które na pozór tyle prawdy miały w sobie.

— Tegom nie myślała, odrzekła przyjaciółka z dziwnym uśmiechem. Spodziewam się atoli, ciągnęła dalej zmieniając ton mowy na dziwny weredyeczny szczyry, że pan jako mężczyzna wszystkiemu zaradzisz. Od was wszystko zależy...

— Zaradzić, czyż to tak łatwo zaradzić?

— Powinieneś pan, rzekła Trymdyszewska, pozując się na bohaterkę cnoty i obowiązku.

To mówiąc odwróciła się ku źródłu i biorąc szklanekę z rąk Adama podała ją cierpiącej dziewczynie. W tej chwili nadeszła Helencia z Sylweryną. Helencia była bladą i zirytowaną i zimniej niż zwykle odpowiedziała na: Dzień dobry Adama.

Przyczyną tego była rozmowa z Sylweryną na przeciwnym końcu promenady:

— Wiesz co moja Helenko! mówiła Sylweryna, że was obojga pojąć nie mogę. Kwasicie się i boczycie na siebie, patrzycie oczyma pełnymi wyrzutu... Cóż to za miłość oryginalna?

— Ja także nie pojmuję już, co się dzieje, odpowiedziała smutnie Helencia.

— Krótka rzecz: albo ty jego niekochasz, albo on ciebie. Ty wprawdzie zaręczasz...

— Nie kryję się przed tobą, że go kocham. On był zawsze takim dobrym i szlachetnym. On duszę moją rozwinął i wprowadził w kraj uczuć. On był tak poezyjnym dla moich rodziców. Ale, mówiła dalej gorzko, coraz bardziej się przekonywam, że on mnie nie kocha.

— Zkądże to przypuszczenie?

— Powiedz mi Sylwerciu, rzekła Helencia, wpatrując się oczyma pełnymi łez w piwne oczy Sylweryny, powiedz mi otwarcie, szczerze, czyli ty tego sama nie widzisz?

Sylweryna chciała dotrzymać wzroku Helencie, ale nie mogła. Było jeszcze trochę dobrego w niej serca. Spuściła więc oczy i rzekła cicho:

— Ja się na tem nie znam Helenko.

— Ty wiesz, wiesz? Czyliż myślisz, że ja tego znieść nie potrafię? O ja potrafię, nie pokażę nawet żadnej boleści po sobie!

— Kiedyś taka odważna, to ci powiem, że i ja myślę też samo.

— Widzisz, widzisz Sylwerciu, rzekła Helencia—a dwie lzy zaświeciły wśród uśmiechniętej twarzy.

— Myślę też samo, bo widzę, że ani ty jemu ani on tobie szczęścia nie przynosi—a miłość, jak sobie wyobrażam, chociażem się nigdy nie kochała—powinna nieść z sobą spokój i szczęście.

— A przecież, mówiła po chwili Helencia, co za sprzeczności? Adam dziś rano był u moich rodziców i prosił o przyspieszenie ślubu.

— Doprawdy? Tu Sylweryna zarumieniła się jak piwonია. To dziwne. A jednak, jednak—mówiła dalej odzyskawszy przytomność—to jeszcze niezgo niedowodzi.

— Poczoby się chciał żenić, jeźliby mnie nie kochał? zapytała naiwnie Helencia.

— Dla dotrzymania słowa, z charakteru, z honoru, wycedziła przez zęby nieubłagana Sylweryna.

— Dla dotrzymania słowa! z charakteru! zakrzyknęła Helencia. Obrażona duma wypróutowała ją jak strunę, była majestatyczną w tej chwili. Dobrze żeś mi to powiedziała, mówiła dalej przytłumionym głosem, dziękuję ci Sylwerciu! To mi przez myśl nie przeszło. A jednak to może być prawda, jest prawda! Na mnie nic niema, coby mu się podobać mogło: anim piękna, ani wykształcona, ani bogata! Więc z charakteru! z honoru! Nie... nie... niepotrzebuję takiej ofiary! Upokorzyć się nie dam!

— Ależ uspokój się Helenciu!

— Już jestem spokojna i po raz drugi dziękuję ci Sylwerciu! Z całego serca dziękuję!

Tu zbliżyły się do źródła, gdzie Helenka zimne z Adamem zamienili „dzień dobry“ a córka z matką tryumfujące zamieniły spojrzania.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POLSKA w PIEŚNI

z książki pierwszej **Wojna Olbrzymów**. Wyszymir. Dwónastu

Wojewodów przez **Deotymę**.

(Warszawa u Kowalewskiego 1860 r.)

(DOKOŃCZENIE.)

Gdyby ktoś, taką wiedzę starosłowiańskich legend i mytów posiadał, jaką w niniejszem dziele spotykamy, gdyby tak obznajomiony z mytologią skandynawską, mógłby z treści Wyszymira zrobić piękną bardzo i romantyczną powiastkę, ale ta powiastka nie powinna wcale rościć sobie pretensyi do malowania naszej przeszłości. W takie intrzygi, dość często nawet zręczne, nie godzi się matać bohaterów, choćby i wymarzonej naszej przeszłości. Może być wszystko... w fantazyi... w urojeniu, ale nie w dziejach. *Polska w Pieśni* — to przecież miało być *coś* dziejowego — toć nawet i jest w niektórych miejscach — powieść jednakże tak fantastyczna jaką jest *Wyszymir*, lubo w niej więcej, niż indziej, jest pięknych myśli i ustępów, z dziejów i z przeszłości naszych robi sobie tylko igraszkę.

Część trzecia nareszcie o 12 wojewodach (698-710) składająca się z 12 strof, na pół ośmiu a na pół trzy-nasto-zgłoskowemi pisanych wierszami, zawiera w sobie opis bezkrólewia po śmierci Wyszymira, obiór dwunastu wojewodów — przy których przeprowadza autorka ideę filozoficzno-socyalną o szlachectwie, i arystokratyczną. Sądzę atoli, iż zawcześnie te ideje przenosić do wieków owych, bo jeżeli w rzeczy samej owi strażnicy narodów zapomnieli, jak autorka powiada, swego posłannictwa, które na nich wkładało obowiązek troski o dobro ludu; nie była to jeszcze arystokracja, nie była to *duma wielkości* nie rozpoznająca brata w tłumie. Był to tylko stosunek prosty władcy do podwładnego — nigdy zaś rozbrat między większą a mniejszą szlachtą. Początek szlachty i z niej zrodzonej arystokracji późniejszych sięga czasów — naród nasz wzrastający od owej epoki w siłę, nigdy do takiej potęgi wzrosć nie mógł, do jakiej wzrosł, na tych podstawach. I z tej idei tłumaczy autorka myt słowiański o smoku, myt tak piękny, powieść tak uroczą, choćby bajeczną. Oducie tego mytu z szaty tradycyjnej, grozy i przestachu, a wyfilozofowanie go w ideę socyalnego nieladu, *niezgody*, nie jest także wcale poetyczną kreacją, wcale nawet jest racjonalnem. Lud nasz niezaprzeczenie najwięcej ma poezyi w swej tradycyi, u niego cała bajeczna nasza przeszłość przedstawia się nie filologicznie w racjonalnych mytach, ale właśnie w poetycznych alegoryach, w postaciach zmysłowych wprawdzie, ale fantastycznych.

Czy nie piękniejszą jest powieść o smoku, robiąca z niego zwierzę niesłychanej wielkości, które tyle a tyle baranów pożerało, a które poczciwy i dowcipny szewczyk podstępem zgładził ze świata? Czy *Krakus* nie piękniej jest przedstawionym w tej baśni? aniżeli w rozumnej historyzozofii, która go robi bohaterem idei jakiejś, o której Sławianom zapewne ani się śniło.

Dobra czasem to rzecz w czystej, racjonalnej historii tłumaczyć wszystkie baśnie. Szanowna autorka nawet bardzo rozumnie tę rzecz przedstawia, pocóż jednak obleka ją w rymy, i to w takie piękne, zręczne, trudne, i nowe rymy? Rozumowanie pozostanie rozumowaniem i niby filozofią — nigdy poezją.

Nareszcie lud się buntuje, bo poznaje swoje prawa zdeptane przez panów.

I wspomnieli, że i oni
Miecz umieją trzymać w dłoni!
Krew im się w piersiach burzyła...
I rzekli: „Stańmy w obronie
Praw matki — gminy.“

O *gminie* czytamy w prawie germańskim (*gemeinde*) słowiańska *gromada* różni się zupełnie od gminy, bo ta potrzebuje *opozytum* arystokracji, której u nas, przynajmniej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie było.

Najgłośniejsi byli dwaj bracia: Wyrwidąb i Wali-góra. Obaj narysowani tu są tak blade, tak mdło i słabo, że nie sposób poznać z tego opisu owych dzielnych bohaterów, co to dęby z korzeniem wyrwali, i góry z miejsca na miejsce przenosili. K. W. Wójcicki bardzo pięknie, nawet poetycznie, choć nie wierszem, w Klechdach ludowych, opisuje te dwie postacie, obok wszystkich innych w podaniach ludu żyjących.

W skutek uciemnienia ludu ozwała się w *Polsce*, jak się szanowna autorka anachronicznie wyraża, pierwsza nuta niesłyszana:

Wtedy w *Polsce* posłyszano,
Nutę dotąd nie słyszana.

I to był początek pieśni! Jakżeż inaczej, o ileż piękniej, choć nie w takim dydaktyzmie Adam Mickiewicz w Paryżu wykladał o początku pieśni — liryki! Nie miejsce, abym ten precudny ustęp jego *Odczytów literatury słowiańskiej*, tu przytaczał, odsyłam czytelniczki do tomu II, a poznają wielką różnicę między rozumowofantastycznym pojmowaniem *pieśni* a pojmowaniem jej z natchnienia. Nie mogę też pominąć okropnie serce czytelnika chłodzącego zwrotu w tem miejscu, w którym autorka przytaczając jedną na *pokaz* dość nie zręczną o *mrówkach* i *pszczółkach* piosnkę, tak się wśród swych definicji o poezji ludu wyraża: *Najczęściej słyszysz piosnkę o mrówce i pszczołce...* Jestto coś tak gramatykalnego, iż mi się przypomniało zaraz: rodzaju żeńskiego są rzeczowniki kończące się na *a* i spółgłoskę miękką z wyjątkami n. p. *pszczółka*, *mrówka* i t. p.

Jakąż następnie naznacza dalej historję pieśni? Im ciszej pieśń dźwięczy... tem bliżej do czynu — bo

Gdy *złśliwy uśmiech kmiotka*
W niemość się rozpaczy zmienia,
Ostatnia piosenki zwrotka,
Zwrotka czynu i *milczenia*.

Przypuściwszy, że w tej zwrotce *milczenie* dla rymu osiadło jeszcze po czynie, przypuścić przecież nie mogę, aby było słuszną rzeczą tak niekorzystnie pojmować i przedstawiać naszego poczciwego słowiańskiego jeszcze *kmiotka* — tego kmiotka, który był członkiem tej wielkiej rodziny, którą Bóg później ubłogosławił Piastem i

Aniołami. Czyż już wtedy kmiotek zostawał pod buławą Gonty, Żeleźniaka, czy pradziadów naszego ludu charakterem był złośliwy uśmiech, szyderstwo, obłuda? A z drugiej strony co do tego, iż pieśń wtedy zamilka, gdy się do czynu duch wznosi, i to się nam nie zdaje prawdą. Czynu pieśń — to najważniejsza pieśń: boć każdy szlachetny, zacny czyn jest poezją, im wznioślejszy czyn, tem wznioślejsza poezya.

Śród niesprawiedliwych i tyrańskich rządów wojewodów, jeden *Krakus z Wawelu wymierzał sprawiedliwość ojcowską*. I ten *Krakus* stał się w końcu: „*gwiazdką nadziei*.“

I nareszcie zakończy się pieśń o 12-stu wojewodach dwunastą strofką o *wiecach* kmiecych i deputacyi o której *nikt ze szlachty nie zna* (zapewne *nie wie*, chciała autorka powiedzieć) składającej się z deputatów Wyrwidąba i Wali-góry. I na tem kończą się pierwsze trzy ustępy *księgi pierwszej*. Ile tych ustępów w tej księdze jeszcze będzie, ile takich ksiąg składać będzie jeden tom, i ile takich tomów obejmie całe dzieło? — nie wiemy. Przypuścić jednak możemy, iż setkami pono to wszystko liczyć będzie trzeba, skoro do roku 710 mamy już taki spory stos wierszy. Dałby jednak Bóg, aby podobnego odlewu rzeźb, więcej już nie było, i dla korzyści utalentowanej i uczzonej autorki, i dla korzyści narodu, którego takim balamuetwem dziejów zaciemniać się nie godzi.

Stwarzajmy epopeje, ale z czynów bliskich nam, tak jak Mickiewicz stworzył pana Tadeusza — zapewniam, iż jest dość do epopei w naszym dziesiątku lat przedmiotu. A po co nam ludzić się chorobliwym marzeniem o tem, nad czem nasi historycy i filologowie z większą korzyścią już pracowali. Niech autorka wierzy, iż nikt o jej marzeniu nie powie tego, co ona na karcie 90 powiada o nowościach:

O wszelkiej prawdzie, o wszelkiem odkryciu,
Za nim się stały, mówiono *marzenie* —

Polska w Pieśni prawdziwa to nowość pisania — lecz nigdy nie przestanie być mrzonką.

Zakończając nasz przegląd tego grubego tomu „*Polski w Pieśni*“ nad którego czytaniem, wyznam, nie mało się utrudziłem, muszę zwrócić uwagę szanownych naszych czytelniczek na recenzję tegoż dzieła, umieszczoną w *Tygodniku Ilustrowanym*. Nie chcę jej zarzucać nieprawdy, owszem przyznaję zupełną słuszność, nie mogę jednakże znieść na sercu jej dziwnego zakończenia. Autor recenzji (—) powiada bowiem, iż jeżeli nie dla czego innego, to dla języka, którego się z tego dzieła nauczyć można, to dla przypisków, zawierających mnóstwo (co jest prawdą) faktów dziejowych, czytać warto tę księgę utalentowanej autorki. — Owóż ja tak sądzę: języka uczyć się nam z gramatyki i z dzieł takich autorów jakimi są: Skarga, Orzechowski, Górnicki, Kochanowscy i t. p. — a poezye polskie pisać należy koniecznie dobrze po polsku, co zasługą autora czy autorki jeszcze być niemoże. Co do *przypisków*, te najprzód są *wypiskami* z dzieł znanych i rozpowszechnionych, a jeżeli im jaką wartość krytyka ma przyznać, to chyba tę, że z nich autorka zręczne porobiła wiersze. Niech mi więc szanowny Recenzent przebaczy tę uwagę nad słowami jego, pochodzącemi z oględności sądu — ze zdaniem jego w ogólności w całej recenzji zgadzam się, a o ile odbiegłem od niego, niechaj z tego przeglądu rozpozna. Wytknięcie prawdy obowiązkiem jest sumienia. Wszelkie względy polityki i dyskrecyi ubliżałyby i prawdzie i szanownej autorce.

Rog...

WYPRAWA DO MOGIŁY.

(Najprawdziwsze zdarzenie.)

Ciąg dalszy.

Wysmiany i od tych, ale już tylko we cztery oczy, musiał się wrześnie zdecydować na obstalowanie fortu n jakiegoś zanikłego cukiernika. Chleb zaniósł do domu.

Torek jest, ale co tu z winem zrobić?— Pan Jeremiasz wiedział dobrze, że pani Naczelnikowa lubi winko — ale winko dobre... stare... ot na przykład dwa lub trzy kieliszki tokaja. Ale tokaj drogi, bardzo drogi. Żeby to tak można dwa lub trzy kieliszki w lać w małą flaszkę... w małą flaszkę, od tak z lekarstwa, wypłukawszy ją poprzednio. To by było pół biedy, ale tu trzeba całą flaszkę, a może i dwie i trzy a nawet cztery.

Te i tem podobne myśli wily się po małej główce małego Jeremiasza — biegającego po szalonym w okolo rynku. Czasem zwolni kroku, zmruży oczy, uderzy się wskazującym palcem, ozdobionym wielkim sygnetem, w małą czoło; cmo-knie usteczkami: widać że jakiś nowy i dobry koncepcik zaświtał w jego makówce. Lecz to tylko na chwileczkę chmurka odsoniła słońce; małe patyczki, przedstawiające nogi pana Jeremiasza, a ubrane w nadzwyczaj szerokie pantalone, zaczynają się prędzej poruszać, wskazujący palec opada z czoła, i zanurza się w obszernej kieszeni, usta się ścinają... słowem zły humor wydobywa z małego człowieka następujące na w pół do siebie mówione słowa:

— Wino, wino — nieszczęśliwe wino!

Jeszcze kilkanaście kroków, kroków gorączkowych... prędkich i skok w powietrze; ale skok jakoby nawet zaszczyt zrobił pierwszemu baletnikowi opery francuskiej!

— Czy oszalał! zawołało kilku przechodzących.

Pan Jeremiasz nikogo nie widział, nikogo nie słyszał, zrobił jeszcze trzy czy cztery piruety a poprawiając wysoki biały kapelusz, który w skutek tak nagłego a niesłychanego wstrząśnienia, opuszczał małą główkę i dopiero prawie na plecach powstrzymanym i znowu na makówkę nasadzonym został — krzyczał w niebogłosy: Już go mam... już go mam... będzie wino, będzie wino i pobiegł do domu.

* * *

Jeszcze zmrok zalegał ziemię, gdy pan Jeremiasz podniósł głowę z niebieskiego woreczka naphanego słomą — zastępującego miejsce poduszki na trzech deskach zbitych, czterma klockami podparych, zastępujących miejsce łóżka. Przetarł oczy, popatrzał na ręce, poodwijal szmatki z palców, którymi w noc pierścionki od wszelkiej skazy ochraniał: bo nigdy-by ich nie położył obok siebie, bojąc się złodzieja.... przetarł kulakami oczy i zajął się pakunkiem wiktuałów. W sporym koszyku pomieścił się tort obwinęty w starą gazetę, spoczywającą od niepamiętnych czasów w kącie na śmietniku, a teraz wydobyta, otrzepaną i na kolanie starannie odprasowana.

— Jest więc legumina! rzekł do siebie zadowolony. — Teraz pieczyste. To mówiąc wysunął rękę po dwa upieczone ptaki, spoczywające snem wiecznym na oknie, pomógł je do noska i pociągnął w siebie tym szlachetnym organem nieco powietrza, czyli, wyrażając się zrozumiale, powąchał je. — Jakby świeżutko zarżnięte, — mówił uradowany, i położył niewinne ptaszęta obok tortu.

Takie staranne opatrywanie a nawet wachanie pieczystego miało ważne i słuszne powody i nikogo zapewne nie zdziwił taka przezorność dowcipnego małego Jeremiasza, gdy się dowie, że kurczaki były kupione w martwym stanie... to jest nieżywe, czyli zdechłe. A rzecz się tak miała. Pan Jeremiasz wchodząc do kamienicy miał zaplątaną główkę pieczystem, jednak to mu wcale nie przeszkadzało, ażeby nie miał usłyszeć głośnego płaczu żony biednego stolarza mieszkającego na tyle domu. Spytana o powód płaczu, zaczęła stolarzka opowiadać wśród mocnego łkania okropną historią, która cały dom stolarstwa pokryła żalobą, atoli pana Jeremiasza wzruszyć niezdolna, owszem nawet jakiś mały cień radości wywołała na jego szanowny mały pyszczek. A historia była okropna: dwie kurki przed trzema miesiącami kupione i wykarmione, tłuszczytkie, pulchniutkie — przy tych słowach stolarzki pociągnął Jeremiasz swoim językiem w kółko po wierzchniej i dolniej wardze — właśnie dzisiaj zaczęły smutnieć, główki schylać, później trząść się jakgdyby dostały nerwowego napadu i.....i..... zdechły.

— Zdechły — wykrzyknął Jeremiasz podskoczywszy w górę — zdechły mówisz kobieto, a dawno?

— Przed chwileczką!

— Cóż z nimi zrobisz? prawie zaryczał Jeremiasz, przyskakując do stolarzki, która przestraszona, myśląc, że szanowny pan Jeremiasz zwaryował, uciekła za warsztat swojego męża, ale Jeremiasz na nic nie uważa, pędzi za uciekającą i jeszcze głośniej wrzeszczy:

— Gdzie są? coście z nimi zrobili?

Stolarz występuje z kąta i z flegmą opowiada, że leżą jeszcze pod piecem; ale trzeba je wyrzucić.

— Więc chcecie wyrzucić? rzecze Jeremiasz. Hm, hm, — to, tego.... wyrzucić.... a możeby nie wyrzucić lepiej.... lecz wyrzucić.... to.... to.... szkoda, dobry ludzisko. A sobie pod nosem mruży: pozdychały przed półgodziną.. to tak jakby zarżnięte przed pół godziną. Hm... hm... w rzeczy samej, czy śmierć taka, czy owaka, wszystko jedno, bo zdechły tak samo nie ożyją jak gdyby im gardła podeszły. — Zwraca się ku stolarce i mówi z uśmiechem słodkiutkim, widać że mu jakiś niezgorszy koncepcik przyszedł do głowy:

— Moja kochana, to już na nic ci się nie zdadzą te kurczaki. A opowiedziawszy jej o jakimś mopsie u jakiejś pani, która mieszka znowu w jakiejś kamienicy na którejś ulicy, a który to mops namiętnie lubi pieczone kurczaki, opowiedziawszy jeszcze wiele rozmaitych przymiotów i pani i mopsa, zaproponował stolarce ażeby te kurczaki upiekła, za co sobie przy place-

niu czynszu kilka groszy potraci. Biedna stolarzka przystała na tę ugódę, ale ze piekła je smarowawszy masłem i asypując tartą bułką, możemy na pewno wnosić, że całą historię o mopsie, znając do tego dobrze pana Jeremiasza, uważała za zrzęcznie ułożoną bajeczkę i że była jak najsilniej przekonana, że to pieczyste sam pan Jeremiasz skonsumuje.

Ale wrómy do dalszego pakowania wiktuałów. Tort jest, kurczaki są, dwa kielbasy, kupione u przekupki w bramie, a nazwane Jarmułowiczowskiemi są, teraz jeszcze wino.

— Wino teraz, mówi do siebie człowieczek — i śmieje się na całe gardło — tak wino, z tem mi się udało... walny koncepcik śliczny koncepcik, i skacze z wielkiej radości po pokoju, wstawiając poprzednio sześć butelek opieczętowanych do koszyka. I z prawdą pan Jeremiasz ma się z czego cieszyć... ale nie sprzedajmy wypadków, w Mogile się o wszystkim dowiemy.

Tak na pakowaniu, ubieraniu się i skakaniu po pokoju zeszedł naszym miniaturowemu bohaterowi czas do godziny dziesiątej, doróżka zajęczała, w której ukrywają koszyk i siebie samego, co mu, jako istnemu karzełkowi, bardzo łatwo przyszło, zaczął ruszyć do pani Naczelnikowej, która się już od godziny niecierpliwiła. Naczelnikowa i córka wsiady do powozu... doróżkarz zaczął jasno-kościste rumaki, które też z nadzwyczajnym ogniem, wyteżywszy grzbiety i popuszczawszy łby, niesłychanym truchtem poczwałowały ku Mogile.

(C. d. n.)

Opisanie mody paryskiej, którą załącza się dla prenumerujących na nie za miesiąc Listopad.

Ubranie do wyjścia na miasto.

Pierwsze ubranie:

Suknia z popeliny lionskiej szafirowa, ubrana garniturem guzików aksamiitnych czarnych, obrzuconych koroną. Stan wysoki, równy w pasie — rękawy szerokie, podszyte kitajką białą i ubrane jak spodnica. Spodnica biała przyozdobiona małymi zakładkami i wstawkami haftowanymi. Spód sukni udrepowanej spinaniami w faldy (retrouse duchesse) — spodnica z domu handlowego *Simona*. Kapelusz z aksamiitu barwy owocu kasztanu, przyozdobiony blondyną i ptakiem z piór. Po wewnętrznej stronie obwodu (skrzydeł) kapelusza obszyte z blondyny i z kwiateczków aksamiitnych. Zarekawki muślinowe, haftowane u ręki, kończą się dwoma płatkami.

Drugie ubranie:

Suknia kitajkowa koloru żywicznego. U dołu spodnicy pięć rzędów kontrafaldów, oblamowanych kitajką zieloną. Stan wysoki. Rękawy gładkie a joekeys. Rękawek i zarekawki kunowe. Paletot aksamiitny czarny, obsyty gipiurą, przyozdobiony szmuklerskimi potrzebami na rękawach. Kapelusz z czarnego i zielonego aksamiitu przybrany w pióra zielone. Po stronie wewnętrznej obwodu (skrzydeł) kapelusza mała wiazanka kwiatków zielonych.

Niewiasta wychodzi co tydzień w 1 lub 1½ arkuszu. Kosztuje rocznie w Krakowie na miejscu 6 złr. w. a. z przesyłką pocztową w ces. austr. 7 złr. 20 c. (zagranica dopłaca 1 złr. 20 cent.) Kto chce mieć raz co miesiąc dołączane mody paryskie, dopłaca rocznie 4 złr. 20 centów w. a. Prenumerować można także półrocznie i kwartalnie — a w miejscu: w redakcyi „Niewiasty“ przy ulicy Sławkowskiej, w księgarni p. Baumgardtena, i we wszystkich dobrze znanych księgarniach także miesięcznie. Prenumeracyjne pieniądze należy przysyłać franco do redakcyi pisma.

K. J. TUROWSKI, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład REDAKCYI. — Druk „Zsasu“. — Rządca, Antoni Rother.